

Recenzja pracy doktorskiej mgr Marka Gmeczyńskiego

"Przedfreudowska filozofia podświadomości"

Zaczynając pisać recenzję pracy doktorskiej mgr Marka Gmeczyńskiego, lekarza psychiatry o filozoficznych zainteresowaniach daleko wykraczających poza zawodową ciekawość, chciałbym podkreślić moje uznanie dla wytrwałości i dociekliwości doktoranta, który potrafił połączyć pracę zawodową z systematyczną refleksją filozoficzną. Za możliwość tak ciekawej lektury jak niniejszy doktorat chciałbym też podziękować jego promotorowi, którym jest filozof, prof. dr hab. Tomasz Kubalica, z którym łączy mnie przynależność do Societas Humboldtiana Polonorum (obaj zawdzięczamy członkostwo w tym stowarzyszeniu epizodowi z wczesnej kariery naukowej czyli stypendium habilitacyjnemu). Przede wszystkim chciałbym zacząć od odnotowania mojej pierwszej reakcji po dotarciu do ostatniej strony pracy (s.149). Moja świadomość recenzenta odnotowała skwapliwie, że dotarłem do końca obowiązkowej lektury akademickiego gate-keepera. Moja pamięć podsunęła równie skwapliwie informację, że uczyniłem tak po raz wtóry (pierwszy raz przeczytałem pracę, bacząc głównie na filozoficzną krytykę Kartezjusza, Kanta i Husserla za zbyt daleko posunięty kognitywizm, za drugim razem skupiłem uwagę na pożytkach z Leibniza dla psychiatrów wierzących w docieranie do podświadomości i praktykujących leczenie realnie istniejących pacjentów). Kiedy ukończyłem drugie czytanie, moja podświadomość podpowiadała mi, że powinienem protestować zarówno u autora jak i u jego promotora – bo chciałbym, żeby ta opowieść jeszcze trwała, by rozlała się szerzej niż tylko po filozofii polskiej (lwowsko-warszawska szkoła filozoficzna, Ingarden, Bocheński, Kmita) i światowej (od Bertranda Russella i Williama Montague po Thomasa Kuhna i Davida Chalmersa). Chciałbym, żeby opowieść wykształconego medycznie ale uprawiającego refleksję filozoficzną kandydata do stopnia doktorskiego z filozofii zagarnęła także najbardziej filozoficznie nastawionych pisarzy polskiego kręgu językowego (żeby się ograniczyć do najoczywistszych przypadków - Witkacy, Gombrowicz, Schulz, Choromański - z okresu międzywojennych zmagania z freudyzmem) i żeby grała echem refleksji nad podświadomością i jej wulkanicznymi wybuchami w życiu społeczno-kulturalnym, polityczno-ideologicznym, a nawet od czasu do czasu w życiu akademickim. I to jest pierwsze spostrzeżenie przemawiające na rzecz omawianej pracy oraz przyczyna mojego pierwszego pozytywnego nastawienia do lektury. Autor bardzo zręcznie, moim zdaniem, czyli zdaniem filozofa ukształtowanego przez poznańską szkołę metodologiczną, zdaniem filozofa nauki (Kmitę znałem osobiście, z Feyerabendem korespondowałem, Bocheńskiego tłumaczyłem na polski), zrekonstruował przedfreudowską filozofię *podświadomości*. Podświadomości czy nieświadomości? "Pod" jeśli nieświadomość ujmemy jako niespokojny ocean zdarzeń, na którym regularnie wyłaniają się archipelagi i kontynenty świadomej refleksji, by z biegiem czasu i ze zbiegami okoliczności okrzepnąć na poziomie świadomości albo by się z powrotem pogrzyły w otchłaniach nie-świadomości). "Nie" czyli *nieświadomości*, jeśli nieświadomość zrozumiemy jako wszechświat możliwych spostrzeżeń i skojarzeń, które nie doczekały się swojego debiutu na scenie świadomej refleksji utrwalonej w siatkach pojęciowych i w nawykach myślowych przekazanych jednostkom, grupom i tłumom. Jak widać, autor, praktykujący psychiatrą, z powodzeniem wciąga czytelnika w zręczną rekonstrukcję prób generalnych do

wielkiego monologu wiedeńskiego neurologa, Zygmunta Freuda, który okazuje się tylko późno zwerbowanym, przypadkowym statystą w castingu do serialu "Jak to z podświadomością było".

Czytając wnioski wyprowadzane przez Marka Gmerczynskiego z prób zrozumienia nieświadomości, świadomości, pamięci, spostrzeżeń i skojarzeń od Arystotelesa i Platona, poprzez św. Augustyna do Kartezjusza i Leibniza, a następnie Kanta i Wolffa, odczuwamy naturalnie niedosyt: jeśli na stronie 148 (przedostatniej) czytamy, że autor wyprowadza z analizy historii pojęcia nieświadomości w filozofii wniosek, że pojęcie to jest wielokształtne czyli polimorficzne, to możemy zadać sobie pytanie, czy analizy nie okazały się daremne, skoro stać nas tylko na skromne spostrzeżenie, że kontekst synchroniczny (otoczenie rzeczowe) i kontekst diachroniczny (historia) uniemożliwiają oparcie się na jednoznacznej definicji zarówno pojęcia świadomości jak i nieświadomości. Gwoli sprawiedliwości dodajmy, że czytelnik nie odchodzi z kwitkiem. Doktorant dorzuca bowiem, że:

"Monady mogą być rozumiane jako obiekty względnie izolowane lub zbiory. Wchodzą one w relacje dzięki swym wyznaczeniom, czyli własnościom zewnętrznym, które już po zaistnieniu relacji stają się ich wyznaczeniami wewnętrznymi, czyli świadomością. Koresponduje to z wiązkową teorią substancji. Interesującym wątkiem może być badanie związków pojęć monady i axiomu z fizyką współczesną, gdzie obiekty mogą mieć charakter falowy lub korpuskularny. Fale można ująć jako świadomość, która nie jest widoczna z zewnątrz, obiekty są widoczne. Ontologiczne ujęcie teorii mnogości, czyli inaczej monadologię, można znaleźć u Jerzego Kmity."(ss.148-149)

Innymi słowy: fizycy spierają się o względność falowej i cząsteczkowej conceptualizacji światła albo innych form przejawiania się materii, w tym także energii. Spierają się o inne wizje rzeczywistości, oraz o odmienną conceptualizację zjawisk, ale ich spór nie może być rozstrzygnięty na poziomie abstrakcyjnych porównań innych konstelacji pojęciowych, może tylko prowadzić do mniej lub bardziej pomyślnych zastosowań w praktycznych przedsięwzięciach – takich jak wprowadzenie kryptowaluty (co nam to mówi o funkcjonowaniu pieniądza) albo telefonów komórkowych (co nam to mówi o przyspieszonym obiegu informacji). Wśród spontanicznie wyłonionych z ducha interakcji praktycznych wynalazków - takich jak Wikipedia albo Wikileaks – badacze starają się pomoc wszystkim zapatrzonym i zasłuchanym w digitalne tam-tamy jednostkom znaleźć systemy nawigacyjne. Jak dotąd że zmiennym szczęściem. Zauważmy, że im bardziej nawet fizycy nie są pewni, kto naprawdę jest realistą, i na których pomysłach oprzeć najnowsze odpowiedniki projektu "Manhattan", tym cięższe zadanie spada na barki lekarza psychiatry. Skuteczna psychoterapia powinna się opierać na zrównoważonym scenariuszu, który pacjentowi cierpiącemu na zaburzenia psychiczne umożliwi takie dobranie świadomych i nieświadomych składników refleksji i decyzji, które pozwolą mu zidentyfikować źródła zaburzeń i dolegliwości, co w konsekwencji pozwoli pacjentowi przestać być pacjentem, czyli pozwoli wieść życie szczęśliwsze, a przynajmniej przeżywać je w sposób przysparzający mniejszych cierpień.

Spróbujmy odpowiedzieć na dwa pytania. Czy autorowi pracy udało się zrekonstruować drogę do freudowskiej propozycji ze szczególnym uwzględnieniem wkładu współtwórcy rachunku różniczkowego i konstruktora jednego z pierwszych pre-komputerów, czyli Godfrieda Leibniza, we współczesne rozumienie teatru świadomości z jego spostrzeżeniami, skojarzeniami, refleksjami i projektami zachowań? I po drugie: czy z tak zrekonstruowanej, leibnizianskiej drogi do freudowskiej teorii i praktyki psychoanalitycznej opartej na wspólnym dotarciu psychiatry i pacjenta do niezgłębionych poprzednio pokładów podświadomości w celu wykrycia źródeł nerwic i ich neutralizacji wynikają obiecujące, nietrywialne wnioski dla współcześnie czynnych teoretyków i praktyków psychoterapii?

Aby odpowiedzieć na pierwsze pytanie należy zbadać materiał dowodowy przedstawiony na korzyść Leibniza jako najodpowiedniejszego kandydata na stanowisko "powinowatego z wyboru" (pozwolę sobie na te aluzje do Goethego, którego Niemcy traktują śmiertelnie poważnie, choć był tajnym współpracownikiem). Autor zadaje to pytanie na stronie 49 i porównując Kartezjusza, Locke'a i Leibniza wybiera tego ostatniego. Podpierając się autorytetem Rosemarie Sand, doktorant pyta o to, czy "dusza myśli w czasie snu?"(s.49) i o to, "czy idee wrodzone są zawsze świadome?" (ibid.) Odpowiada, że:

"Kartezjusz twierdził, że myśl jest ciągła i świadoma. Locke uważał, że myśl jest świadoma, ale nieciągła, a Leibniz doszedł do wniosku najważniejszego dla niniejszej pracy, uznał mianowicie, że myśl jest ciągła, jednak nie musi być świadoma." (ibid.)

Doktorant zauważa, że tryumfy kartezjanizmu miały jedną stronę pozytywną – a mianowicie pozwoliły skierować badania na materię jako rozciągłą substancję, co doprowadziło do tryumfów fizyki a następnie chemii i biologii molekularnej. Jednocześnie zauważa, że dominacja kartezjanizmu a następnie kantyzmu i neokantyzmu w filozofii miała bardzo poważną wadę, ponieważ zabrakło w niej miejsca dla świadomości, co doprowadziło do trwających po dzień dzisiejszy trudności z rozwiązaniem tzw. problemu psychofizycznego. Miejsca dla świadomości w materii nie znaleziono, założono zatem, że ulotne wyładowania elektryczne między cząstkami, z których zbudowany jest ludzki mózg prowadzą do pewnych osobliwości i zakłóceń w funkcjonowaniu materialnej obudowy tych lokalizacji czyli ludzkiego organizmu. Te osobliwości potrafimy rejestrować, a interpretując je wyobrażamy sobie korzenie niematerialnej świadomości, co pozwala na razie zawiesić dalsze dociekania nad tym w jaki sposób w materialnym mózgu zamieszkuje niematerialna świadomość. Kant ponosi odpowiedzialność za utrwalenie kartezjańskiego dualizmu:

"ponieważ rzecz sama w sobie miała już być dla umysłu niepoznawalna. U Leibniza jest inaczej, percepcja jest reprezentacją świata zewnętrznego, materialnego i – co więcej - można w filozofii Leibniza widzieć również wątki panpsychizmu, ponieważ percepcje występują również u monad prostych. Według poglądów Leibniza świat posiada dwie strony, psychiczną i materialną, które są organicznie, logicznie i funkcjonalnie połączone dzięki koncepcji monady."(s.84)

A na następnej stronie dodaje coś, co można zrozumieć tylko idąc tropem poetów a nie filozofów (mnie się nasunęło zdanie z Rilkego "do współuczucia z każdej rzeczy woła"), ale co ma rosnące znaczenie wobec współczesnych badań grzybni, drzew, skał, wód i innych przejawów przyrody zarówno ożywionej w myśl dawnej nomenklatury, jak i nieożywionej:

"Leibniz w przeciwieństwie do Kartezjusza nie uznał, że jedynie człowiek jest substancją obdarzoną świadomością. W filozofii Leibniza percepcje są powszechne w rzeczywistości: wyposażone są w nie również proste monady a ich wyznacznikiem jest reprezentacja, a nie świadomość. Percepcja w rozumieniu Leibniza może być nieświadoma w rozumieniu kartezjańskim. Ponadto monadyczne rozumienie rzeczywistości opisuje lub tłumaczy powszechną obserwację, że człowiek jest jednocześnie od wewnątrz świadomy a od zewnątrz materialny. Innym elementem filozofii Leibniza, który pozwala zbudować spójną teorię rzeczywistości jest koncepcja hierarchicznej zależności monad."(s.85)

Myślę, że za ten fragment doktoratu można doktoranta pochwalić. Naturalnie wolałbym, żeby się dokładniej zajął konsekwencjami stwierdzenia, że percepcję mogą być udziałem dębu i ameby a nawet skały i wirusa, wolałbym również, żeby szerzej rozwinął swoją interpretację spostrzeżeń nieświadomych (skądinąd badanych przez psychologów i neurologów specjalizujących się w reklamie, propagandzie, symulacjach wojskowych i giełdowych oraz speed-dating). Ale już sam fakt,

że na takie antykartezjańskie konsekwencje odkurzenia Leibniza w filozofii nauki zwrócić uwagę zasługuje na pochwałę (choć życzyłbym sobie, żeby do tematu powrócić, ot choćby po lekturze George'a Dysona - "Analogii" (z 2020 roku) albo "Darwina wśród maszyn"(z roku 2012)). Dlatego zachęcam doktoranta by przestudiował także nowsze prace Chalmersa, np. "Reality +" z roku 2022, gdzie znajdzie potwierdzenie swoich intuicji. Zapewne bliski mu będzie pogląd, że to Leibniz wymyślił pojęcie "bitu" w eseju z 1703 roku poświęconym arytmetyce binarnej. Te ostatnią z kolei wyprowadzał Leibniz z chińskiej księgi "I Ching", w której dopatrywał się "0" w symbolu "ying" i "1" w symbolu "yang".

Mniej zadowolony jestem z przedstawionego w omawianym doktoracie rozwiązania problemu stosowalności koncepcji świadomości i nieświadomości wyprowadzonych z monadologii Leibniza w rozwiązywaniu praktycznych problemów lekarza psychiatry. Zgadza się naturalnie z autorem, gdy cytuje z aprobatą znakomitego polskiego psychologa Alberta Dryjskiego, który stwierdzał, już w okresie międzywojennym, że:

"Jądem problemu podświadomości jest właściwie zagadka pamięci".(s.93)

Ale jeden cytat, jak wiadomo, wiosny interpretacyjnej nie czyni. Wydaje mi się, że gdyby autor postanowił sprawdzić, czy w filozofii europejskiej można znaleźć rozwiązanie problemu pamięci, mógłby Leibniza skuteczniej lansować w filozofii nauki po Flecku, Popperze, Kuhnie i Feyerabendzie (nasuwa się naturalnie Bergson, ale nie jest on jedyny na gruncie filozofii, że o gruncie socjologii i badaniach społecznych ram pamięci nie wspomnę). Moje niezadowolenie z niedostatecznej uwagi poświęconej pamięci i jej roli w kształtowaniu świadomości (i nieświadomości) nie skłania mnie bynajmniej do stawiania zarzutu, że doktorant nie przeczytał filozofów innych niż niemieccy albo polscy, czyli na przykład francuskich. Ale skłaniają mnie do pytania o to, dlaczego doktorant nie poszedł tropem intuicji, która wyraził na stronie 135, na której napisał, że:

"teoria zbudowana na pojęciach, które nie odpowiadają rzeczywistości, okaże się w najlepszym wypadku spójna logicznie, ale niepłodna poznawczo, bo nieprzystająca do świata realnego, czyli nieintersubiektywna."(s.135)

Współczesna filozofia nauki w zasadzie przyjmuje już milcząco, że nie zaczynamy budowy programów badawczych od wyboru definicji, ani od narzucania interpretacji, tylko od ustalenia reguł negocjacji (kto ma przy stole negocjacyjnym zasiadać, czy ma on być okrągły jak w Magdalence czy w kształcie litery "T " jak na granicy Korei Południowej z Północną, czy problemy psychiatry rozwiązywać we współpracy z przemysłem farmakologicznym czy z wykształconymi przez instytucje psychoanalityczne psychoterapeutami, itd.). I dlatego doktorant mógłby pójść znacznie dalej niż tylko zaznaczyć, że:

"Istnieje możliwość, która pozwala na włączenie świadomości do języka fizyki przy pomocy pojęć pokrewnych – relacji, reprezentacji i oddziaływania. Wszystkie one mają umocowanie w świecie materialnym, zewnętrznym, formalnym i tym samym wykraczają poza świat immanentnych obiektów postrzeganych przy pomocy zmysłów i rozumu. Mają charakter monadyczny podobnie jak umysł ludzki, który nie jest widzialny z zewnątrz. Z zewnątrz widzialny jest jedynie mózg."(s.135)

Gmeczynski zadaje co prawda pytanie o to, czy odejście od hylozoizmu było błędem (jeśli tak, to należy między innymi innym wzrokiem spojrzeć na próby podejmowane przez Teilharda de Chardin, czy na spory wokół tzw. "inteligentnego zamysłu"). Doktorant przypuszcza, że wprowadzenie monadologii do filozofii nauki może pomóc w harmonizacji, rekonstrukcji, odnowieniu przestrzeni pojęciowej, w której spójność logiki (wyścigi na torach abstrakcji), fizyki (wyścigi na torach empirii) oraz filozofii (wspinaczki na przełęczach sensu i bezsensu) będzie przynajmniej osiągalna (ale kiedy

wypowiada taki pogląd, jesteŝmy juŝ na stronie 140 i zabiera się do zakoŝczenia). Reasumujac, pochwalam oparcie się na Leibnizu (monadologiã jako kompromis ontologiczny i metodologiczny) i na próbie programu badawczego, który charakteryzuje się powŝsiãgliwoŝciã ontologicznã (to trop Bocheŝskiego, dla którego ontologiczne podstawy moŝna budować na trzech fundamentalnych pojęciach – rzeczy, wŝsnoŝci i relacji, oraz Kmity, którego fascynowało to, jak sowa łączy się ze ŝwiatem). Bardzo wysoko cenie zwięŝlã wypowiedŝ zawartã w cytowanych poniŝej zdaniach:

“Solipsyzm moŝna przewycięŝyć jedynie przez załoŝenie lub wiarę, nie jest to moŝliwe logicznie ani doŝwiadczalnie.(...) Istniejã rŝŝne interpretacjã rzeczywistoŝci. Kaŝda jest oparta o wŝsnoŝci umyŝtu tego, kto go posiada i prezentuje a rozwój nauki polega na uzgadnianiu poszczegŝlnych wariantŝw rzeczywistoŝci przez naukowcŝw i wybieraniu tego, który aktualnie posiada najlepsze uzasadnienie, zgodnoŝ z doŝwiadczeniem lub uŝytecznoŝc.”(s.139)

Wolałbym nie akapit, ale rozdział, a wŝsciwie nie rozdział tylko całã częŝc pozytywnego programu dla psychiatrii jako nauki praktycznej (leczyć, ulŝyć cierpiãcym), doŝwiadczalnej (sprawdzać co i jak działa) oraz teoretycznej (rozumiejãc, odkrywajãc i wynajdujãc sens poglãdŝw i poczynań, odpowiadajãc na pytanie “dlaczego” a nie tylko “jak”). Ale czytajãc powyŝsze zdania mogę z czystym sumieniem wysnuć wniosek, ŝe praca doktorskã mgr Marka Gmeczynskiego spełnia warunki stawiane rozprawom doktorskim i wnoŝić o dopuszczenie do jej publicznej obrony.

Haarlem, 16 sierpnia 2023

  
(Pawel Magala)